

**JACEK
JOACHIM
POLOWANIE NA SZCZUPAKA**



Jacek Joachim

POLOWANIE NA SZCZUPAKA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-40-1

Copyright © Spadkobiercy autora

Tekst: Wydawnictwo Ślask, Warszawa 1969

Projekt okładki: Justyna Niedzińska

Jacek Joachim to pseudonim literacki Zbigniewa Kubikowskiego

Spis treści

- I. Pałac pod Baranami
- II. Stara przystań
- III. Pierwsza noc
- IV. Baszta Siedmiu Złodziei
- V. Popołudnie w małym miasteczku
- VI. Druga noc
- VII. Zegar w hallu
- VIII. Ostatni wieczór
- IX. Pułapka
- X. Trzecia noc
- XI. Ranek

I. Pałac pod Baranami

Z pociągu wysiadłem o piątej nad ranem. Był rześki wrześniey ranek, stacyjka pusta, pusty plac przed stacyjką, zaspani kolejarze. Po drugiej stronie placu zapalały się światła w oknach, rozmazane i blade w szarym półmroku, rozjaśnionym na wschodzie blaskiem wschodzącego słońca. Przy krawężniku czekał wielki, stary samochód. Podszedłem bliżej, przeczytałem napis, wymalowany na czarnych, porysowanych drzwiczkach: „Dom Pracy Twórczej Związku Historyków. Pałac pod Baranami w Pokrzywnie”. Otworzyłem drzwiczki, wstawiłem walizkę, rozsiadłem się na szerokiej, wytartej kanapie z wylażącymi spod pokrycia sprężynami. Kierowca drzemał z twarzą na kierownicy.

– Dzień dobry – krzyknąłem.

Drgnął, przeciągnął się, przetarł oczy, potem dopiero się odwrócił.

– Pan sam? – mruknął.

Rozejrzałem się dokoła.

– Jak się dobrze zastanowić – powiedziałem – to sam.

– W porządku – burknął – będzie drugi z Poznania. Pani Pocięjłto... pani kierowniczką kazała zaczekać.

I złożył głowę na kierownicy. Nie zdążyłem mu się nawet przyjrzeć. Westchnąłem z rezygnacją i rozsiadłem się wygodnie, zapaliłem papierosa, żeby nie zasnąć. Mijały minuty, kwadransy, rozjaśniło się, na placu, zalany wczesnym słońcem, zjawili się ludzie, zahuczała piskliwie fabryczna syrena. Miałem dość. Dotknąłem ramienia kierowcy.

– Kiedy przychodzi ten pociąg? Rano czy wieczorem?

– Rano – odpowiedział od razu, jakby wcale nie spał – zaraz po pańskim. Spóźnił się chyba.

Przeciągnął się, odwrócił. Był młody, barczysty, twarz miał szeroką, dobroduszną. Poczęstowałem go papierosem i kiedy rozmawialiśmy o nieważnych rzeczach, usłyszeliśmy gwizd lokomotywy, zbliżający się łomot kół, to przyjechał pociąg z Poznania. Wysiadło kilka zaledwie osób i jedna z nich od razu zwróciła naszą uwagę. Był to wysoki, chudy mężczyzna, z ogromną walizką, kraciastym pledem przerzuconym przez ramię, w małym, popelinowym kapelusiku. Stał bezradnie na skraju chodnika, rozglądał się niepewnie, przestępował z nogi na nogę.

– Musi historyk – orzekł szofer; wygramolił się z wozu i po chwili spóźniony pasażer sadowił się już koło mnie, podczas gdy szofer lokował w bagażniku jego walizkę.

– Sługa pana profesora – mówił nieznajomy zdejmując kapelusik i mocując się z rękawiczkami – pana adiunkta – poprawił, przyjrząwszy mi się dokładniej – pan kolega z Warszawy?

– Z Warszawy.

– Bardzo mi przyjemnie. Wizner jestem, z Poznania.

– Joachim.

Szofer zasiadł za kierownicą, zatarł ręce.

– Jedziemy – powiedział rażno.

– Czy myśmy się nie poznali na zjeździe w Kruszwicy? – wykrzyknął Wizner. – Po referacie profesora Pędolińskiego? Pamięta pan? Profesor urządził lampkę wina...

– Niestety – uśmiechnąłem się – nie byłem w Kruszwicy.

Zajęczał motor raz, drugi.

– Jedziemy – powtórzył szofer, już z mniejszym entuzjazmem.

– Głowę dałbym, że już pana poznałem – nie ustawał Wizner – wiem! – wykrzyknął – sympozjon w Kaliszu! Wojny chłopskie w siedemnastym wieku! Eksport zboża przez Gdańsk! Nie, nie to! Mówił pan o rokoszach szlacheckich, zgadza się?

Samochód zatrząsł się i znieruchomiał.

– Nie zgadza się – powiedziałem – nie byłem w Kaliszu.
– Nie pojedziemy – rzekł zrezygnowanym głosem szofer.
– Dlaczego? – zaniepokoił się Wizner. – Czekamy jeszcze na kogoś?
– Iskry nie daje – wyjaśnił kierowca z wyraźnym rozradowaniem.
– Iskry nie daje – powtórzył Wizner grobowym głosem, lecz widać było, że nie ma pojęcia, kto komu i dlaczego nie chce dać iskry.
– Drugi rok prosimy o warszawę – ciągnął kierowca – i proszę. Nic. Bardzo dobrze się stało.

– Wsiadamy – powiedziałem do Wiznera.
– Dlaczego? – zaniepokoił się.
– Popchamy wóz. Już późno.
Szofer krygował się, ale go nie słuchałem. Zaparliśmy się o bruk, pchnęliśmy, samochód potoczył się wolno, za wolno. Odwróciłem głowę, oczywiście, Wizner ledwie dotykał samochodu, z wyraźnym wstrętem, jakby trzymał żabę w palcach.
– Mocniej! – krzyknąłem.
– Nie mogę mocniej – usprawiedliwiał się – znowu mam przyśpieszone bicie serca.
Motor strzelił raz, drugi, potem wstrząsnęła wozem gwałtowna eksplozja, po niej nastąpiła seria mniejszych, samochód potoczył się szybciej. Stałem, a Wizner biegł dalej z wyciągniętymi rękami. Szofer zahamował, Wizner oparł się o karoserię ciężko dysząc.
– Dlatego postanowiłem nie kupować samochodu – tłumaczył mi, kiedyśmy jechali – profesor Pędoliński zdecydował się na kupno i z miejsca coś się tam urwało.
– A nie można przyczepić? – spytałem.
– Nie można, widocznie nie można – odpowiedział poważnie.
– E, panie – wtrącił się wesoło szofer – niechby mi ten pański profesor dał wóz na pół godziny.

– Profesor ma mechanika – wyjaśnił z godnością Wizner.
Przejechaliśmy przez niewielki rynek, potem szeroką ulicą przecięliśmy park, minęliśmy szereg niebrzydkich willi, ukrytych w głębi ogrodów i znaleźliśmy się na asfaltowej szosie. Było tu pusto, raz tylko wyprzedziliśmy chłopską furmankę z ogłuszającym wrzaskiem klaksonu, który nasz szofer skwapliwie uruchomił. Wizner opowiadał o sobie. Był adiunktem na poznańskim Uniwersytecie, zajmował się historią gospodarczą siedemnastego wieku, wkrótce miał się habilitować u profesora Pędolińskiego, którego osobowością wyraźnie był zafascynowany. Potem podjął dalsze próby rozszyfrowania mojej specjalności, a kiedy mu się to nie udało, zaatakował wprost:

– A pan kolega czym się zajmuje?
– Zajmuję się współczesnością – wyjaśniłem poważnie.
– Fascynujące – powiedział ponuro.
I zamilkł. Wjechaliśmy w las, droga pięła się pod górę. Szofer zmienił bieg, piłowaliśmy jedyką, z chrzęstem, warkotem, szosę za nami zasłoniły kłęby niebieskawego dymu.

– Pięknie tu – podjął rozmowę Wizner, widać już pogodził się z moją nieciekawą specjalnością.

Brama parku była otwarta. Na dróżce, wiodącej do pałacu, wiatr przeganiał pierwsze jesienne liście. Po warszawskich deszczach patrzyłem z przyjemnością na czyste, bładoniebieskie niebo i rysującą się na jego tle sylwetkę starego pałacu, a kiedy wysiedliśmy, odetchnąłem z rozkoszą powietrzem przesyconym zapachami zieleni, jeziora, skoszonych traw.

Wyjęliśmy walizki, daliśmy po parę złotych szoferowi, który odjechał z ogłuszającym chrzęstem blach. Weszliśmy po szerokich schodach. Ciężkie drzwi otworzyły się z trudem. W mrocznym hallu majaczyły zbroje rozstawione pod ścianami, błyskało wahadło wielkiego,

starego zegara. Cisza wierciła w uszach. Przerwały ją szybkie kroki i w drzwiach wiodących na lewo zjawiała się smukła, wyniosła sylwetka pani Karoliny Pocięjłło.

– Witam panów – powiedziała pani Karolina.

Postawiliśmy walizki i ruszyliśmy ku niej. Pani Karolina postarzała się bardzo od czasu, kiedy ją widziałem. Siwe, bujne włosy, wysoko zaczesane i fantazyjnie upięte nad pociągłą, woskową twarzą, duży szal, zarzucony na ramiona. Podała nam do ucałowania suchą, żyłastą rękę z ogromnym sygnetem.

– Zechcą panowie mi towarzyszyć. Walizki proszę zostawić.

Szła przed nami wolno, majestatycznie, długim, sklepionym korytarzem. Zatrzymała się przed wysokimi drzwiami i otworzyła je olbrzymim kluczem. Było tu chłodno i mroczno, za to gabinet, do którego weszliśmy, wypełniał ostry, słoneczny blask, powtarzany przez lustra wiszące na ścianach i gładkie powierzchnie mebli, załamujący się w kryształowych flakonach, zdobiących stylowe komódki, serwantki i sekretarzyki.

Pani Karolina zasiadła za biurkiem, olbrzymim, czarnym, wspartym na pękatach, rzeźbionych nóżkach i wskazała nam foteliki, stojące naprzeciw. Wizner rozsiadł się natychmiast, ja obejrzałem nieufnie swój fotelik, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że powinna na nim wisieć karteczka z napisem: „prosimy nie dotykać eksponatów”.

– Proszę o skierowania – powiedziała pani Karolina.

Wizner zerwał się, wyciągnął portfel, zaczął grzebać w nim pośpiesznie; posypały się na podłogę kartki, notatki, jakieś bilety i fotografie. Pani Karolina przyglądała się temu z zimną pogardą.

– Jest! – wykrzyknął triumfalnie Wizner.

Pani Karolina obejrzała dokładnie dokument, otworzyła wielką księgę i odkręciła wieczne pióro, a zdawało mi się, że wydobędzie skądś gęsie, wraz z wielkim kałamarzem inkaustu.

– Nazwisko pana?

– Wizner. Alojzy. Adiunkt przy katedrze profesora Pędolińskiego. Zajmuję się stosunkami gospodarczymi...

– Adres pana?

– ...stosunkami gospodarczymi w wieku... – ciągnął Wizner. – Adres? Mysi Zaułek 11.

– Urodził się pan...

– ...w wieku siedemnastym. Co proszę? Kto się urodził?

Pani Karolina odłożyła pióro i wpatrzyła się w Wiznera wzrokiem pani domu, u której niespodziewanie zjawiał się niepożądany gość.

– Proszę pana – powiedziała – zechce mi pan odpowiadać na pytania. Na konieczne pytania, których nigdy bym nie zadawała, gdyby nie przykre obowiązki administracyjne, a proszę mi wierzyć, że wydają mi się zbędne w tym samym stopniu, co panu, i chciałabym je mieć już poza sobą. Alors?

Wizner oprzytomniał i rozmowa potoczyła się gładko. Zastukano do drzwi, zjawiał się w nich niemłody, drobny człowieczek o pomarszczonej twarzy, w wyblakłym ubraniu, które kiedyś było chyba mundurem albo wręcz liberią.

– Śniadanie podajemy o ósmej – powiedziała pani Karolina – pan Pokorczyk wskaże panu pokój.

Wizner zerwał się, uklonił, los sam przyszedł mi z pomocą – nie chciałem, aby adiunkt profesora Pędolińskiego słyszał moją rozmowę z panią Karoliną. Gdy za Wiznerem zamknęły się drzwi, pani Karolina wpatrzyła się we mnie przenikliwie.

– Pan gościł już u nas – powiedziała.

– Podziwiam pani pamięć.

– Było to kilka lat temu – ciągnęła – pan był bardzo młodziutki... a i ja wyglądałam lepiej – uśmiechnęła się, i w tym uśmiechu roztopiła się jej kostyczność i oschłość, wyglądała prawie sympatycznie – pracował pan na Uniwersytecie Warszawskim, prawda?

– Tak, wtedy pracowałem na Uniwersytecie, byłem młodszym asystentem.

– A dziś?

– Dziś pracuję w Komendzie Głównej MO – powiedziałem wolno.

Pani Karolina zeszytniała, podniosła głowę znad papierów ruchem pełnym niedowierzania i grozy.

– W Komendzie Głównej... – powtórzyła – pan – historyk? Pan – w milicji?

Widać było, że jest całkowicie wytrącona z równowagi.

– Uważa pani, że to nieodpowiednie zajęcie dla historyka? – spytałem poważnie.

Pani Karolina kręciła głową z oburzeniem.

– Historyk, były asystent... w milicji. To niesłychane, niesłychane... I cóż pan tam robi, w tej milicji? Czym pan tam jest?

– Mam stopień kapitana.

– Kapitana – powtórzyła trochę łagodniej – mój bratanek, Konstanty Pocięjło, był kapitanem w sztabie artylerii. Marzył o ułanach, ale, niestety, nie posiadał dyspozycji jeździeckich, wybrał więc artylerię, bo tam, proszę pana, konie ciągnęły armaty. Bardzo kochał konie.

– A armaty?

– Ach, nie zwracał na nie uwagi. Był zakochany w koniach. Urządzał popisy hippiczne, choć sam, niestety, był tylko sędzią. I organizatorem. No, ale wracajmy do rzeczy. Więc pan jest kapitanem milicji. Mój Boże! Pewnie jestem staroświecka. Kapitan... I nie żał panu kariery naukowej?

– Czy ja wiem? Jednak nie, sam się przecież zdecydowałem na zmianę zawodu.

– Ale coś tam musi jeszcze tkwić, coś pana jeszcze ciągnie do dawnych zainteresowań.

Przyjechał pan do nas, zamiast do jakiejś modnej miejscowości, nieprawdaż?

– Oto moje skierowanie. Ale nie przyjechałem tu na wypoczynek.

Pani Karolina spojrzała na mnie czujnie. Milcząc obracała w palcach moje skierowanie.

– Chce pan powiedzieć... – zaczęła po chwili.

– Chcę powiedzieć, że sprowadzają mnie tu wypadki, które i panią chyba niepokoją.

Przyjechałem służbowo i liczę na pani pomoc.

– To obrzydliwe włamanie – powiedziała z niesmakiem – to chyba nie jest sprawa, która mogłaby zainteresować kapitana milicji z Warszawy. Sądziłam, że przyślą mi jakiegoś miejscowego milicjanta. Był tu już zresztą i zapowiedział następną wizytę. Ostatecznie niczego nie skradziono.

– A jednak... Zresztą nie chodzi mi tylko o to, że rozpruto pani kasę ogniotrwałą. Jeden z gości...

– Pan doktor Poruta? Padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Sam z tego żartuje. Pewno go ogłuszyli jacyś kłusownicy.

– Sam z tego żartuje? Więc jeszcze tu jest?

– Oczywiście. Kończy pracę o staropolskich dworach szlacheckich. Nie chce jej odkładać i ostatecznie nie ma powodu.

– Pięknie. Zostaje jeszcze jedno. Śmierć leśniczego.

Pani Karolina spoważniała.

– Śmierć leśniczego? – powtórzyła – cóż może mieć z tym wspólnego śmierć pana Smoczyka?

– Nie wiem – odpowiedziałem szczerze – został zamordowany przed dziesięcioma dniami, prawda? Czy pamięta pani, gdzie go znaleziono?

– Pamiętam. Nad jeziorem, na starej przystani.

– A pana Porutę?
– Też... co pan chce przez to powiedzieć? – krzyknęła z przestachem – znaleziono go w tym samym miejscu, ogłuszonego.
– Dziwne, prawda? Proszę mi wierzyć, wszystko, co zdarzyło się w Pokrzywnie może – może, nie musi – wiązać się z innymi wypadkami w innych miastach – i dlatego tu jestem.
Pani Karolina zamyśliła się, chwilę trwała cisza, tylko muchy brzęczały sennie, snując się po prześwieتلonych słońcem szybach.
– Przypomina mi pan mego siostrzeńca – powiedziała nagle pani Karolina – Joachim, Joachim... Skąd pan pochodzi?
– Z Warszawy.
– Nie jest pan przypadkiem krewnym barona Joachima? Właściciela pięknej stajni wyścigowej? Poznałam go w Ostendzie, w dwudziestym trzecim... nie, dwudziestym czwartym roku.
– Niestety – powiedziałem z żalem – mój ojciec był nauczycielem i nawet nie wiem, czy kiedykolwiek słyssał o swoim utytułowanym imienniku. Ale mam nadzieję – dodałem z niepokojem – że mi pani tego nie weźmie za złe.
– Ach! – uśmiechnęła się – wierny portret mego siostrzeńca! Na imię ma Bazyli. Niech pan ze mnie nie żartuje, niczego panu nie mam za złe. Proszę mi raczej powiedzieć, w czym panu będę mogła pomóc.
– Chciałbym zwiedzić zamek i okolice. Zobaczyć miejsce, w którym zginął leśniczy.
– A zatem – powiedziała wstając – zobaczymy się na śniadaniu. Niedługo się zacznie, musi się pan przedtem rozlokować. Dam panu ładny pokój.
Pokój był rzeczywiście ładny. Pokorczyk, ów ni to lokaj, ni to urzędnik recepcji, postawił moją walizkę na podłodze, przyjął napiwek z kamienną twarzą (lokaj), a potem podał mi rękę (urzędnik) i wyszedł. Rozejrzałem się. Wielki, marmurowy kominek, przed nim olbrzymi fotel, na środku pokoju stół i krzesła, w rogu szafa, naprzeciw szerokie łóżko, obok małe drzwiczki. Otworzyłem je i gwizdnąłem z zachwytu. Łazienka, luksusowa łazienka. Musiałem pani Karolinie bardzo przypominać jej siostrzeńca. Małe okienko w górze, nad kafelkami. Odkręciłem kurek – ciepła woda. Wróciłem do pokoju, podszedłem do okna w wielkiej, sklepionej wnęce, otworzyłem je, wyjrzałem. Pode mną był park, dalej fosa, zarosła rzęsą. Zapaliłem papierosa, wyciągnąłem się w fotelu przed kominkiem, przymknąłem oczy. Nie powiedziałem pani Karolinie wszystkiego. Ale mówiąc, że nie wiem, jak połączyć z sobą wypadki, które miały miejsce w Pokrzywnie podczas ostatnich kilkunastu dni, byłem szczery.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI